

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMII.

15)

Tłum. z francuskiego.

Był to list od pana Ducroc, podpisany przez ostrożność „Thourenet”. Niepodobna było omylić się. List brzmiał:

„Drogi przyjacielu!

Proszę mi darować, że w tym jedynym wypadku, postępuję wbrew zwykłemu zachowaniu ostrożności i piszę do pana pod tym adresem. Ale muszę zawiadomić pana o pewnym fakcie, który trzeba natychmiast sprawdzić. Jeden z moich agentów — Bardet, — którego pan zna dobrze, rozmawiał wczoraj z urzędnikiem biura kolejowego; ten ostatni oznajmił mu, że widział rudego mężczyznę, który dostawił beczkę wina do Klubu międzynarodowego. Osobnik ów bywa stale w szynku, znajdującym się w ohydnych przejściach między uliczką des Gobelins a ulicą Kordylierów. Wejście przez drzwi nr. 19 z uliczki de Gobelins.

Nie potrzebuję zresztą opisywać panu szczegółowo, zna pan ten szynk — tam właśnie Frisquet wytropił Harschfelda. Niech się pan stara zająć tam, nie zwracając na siebie uwagi i wysledzić tego osobnika. Musimy wiedzieć dokładnie, kim on jest. Pan jeden tylko potrafi to uczynić. Dla każdego innego takie przedsięwzięcie byłoby zbyt niebezpieczne. Dla pana to zabawka.

Wreszcie proszę bardzo nie odkładać tej sprawy. Najlepiej byłoby uczynić to dzisiaj wieczorem, jeżeli tylko pan może. Po zbadaniu, proszę mi natychmiast zdać sprawę. Mam wszystkie dane, że znajdzie pan tam tego, o którym pan wie.”

— Tra-la-la! — mruknął Sebastjan, wzruszając ramionami. — Kochany pan Ducroc — zawsze jednakowo! Zmanierowany na punkcie podrzędnych współpracowników. I co nam z tego przyjdzie, jeżeli złapiemy tego sławnego rudego mężczyznę? Tembardziej, że ten, który dostawił beczkę do Klubu — umarł... To był Harschfeld. Ale w takim razie?

Sebastjan zatrzymał się... Nagła myśl uderzyła go. — O! A może p. Ducroc miał naprawdę myśl genialną? Harschfeld umarł — to prawda, ale istnieje inny rudy mężczyzna, podobny do tamtego, jak brat rodzony. I tego drugiego ja znam, nawiasem mówiąc, miałem z nim ciężką rozprawę. Urzędnik kolejowy mógł się pomylić, tak byli do siebie podobni. A gdyby ten człowiek był...

Sebastjan zerwał się gwałtownie i zaczął chodzić wielkimi krokami po pokoju.

— Tak, tak... Pan Ducroc ma słusność... Nie można tracić czasu, pójdę tam dziś wieczór, chcę mieć czyste sumienie. Sprawa warta zachodu. A co do niebezpieczeństwa — dodał, machając obojętnie ręką — to nie będzie ono tam większe, niż tu. Nieprawdaż Frisquet?

Pies spojrział na pana swemi mądrymi oczyma, i — jakby rozumiejąc, o co chodzi — szczechnął parę razy wesoło.

Ośma biła na jakimś zegarze, gdy Sebastjan Blanc wchodził w ulicę Croulebarbe, pustą o tej porze zupełnie, oświetloną rzadkimi latarniami.

Detektyw tego wieczoru przeszedł samego siebie i przebranie jego było arcydziełem swego rodzaju. Miejsce solidnego pana Gambert zajął oberwaniec o pijackiej, zwierzęcej twarzy, jeden z tych, którzy ukazują się dopiero w nocy i których widok przprawia o śmiertelne przerażenie zapóźnionych przechodniów.

Pod tem przebraniem, które miało mu zapewnić bezpieczeństwo — Sebastjan nie czuł się jednak dobrze. Pomimo całej swej odwagi, zdawał sobie dobrze sprawę z groźnego przedsięwzięcia. Widział, że w tym światku apaszów, sutenerów, najgorszych mętów społeczeństwa — najmniejszy ruch, najłżejszy błąd językowy może go zdradzić, co pociągało za sobą niebezpieczeństwo śmierci.

Pozatem ci wszyscy ludzie znali się między sobą i samo ukazanie się nieznanego osobnika mogło wywołać podejrzenia. Znadto przyzwyczaili się oni do ciągłego strzeżenia się policyi, która używała wszystkich możliwych i niemożliwych przebrań, żeby dostać się do ich kryjówek.

To też z bijącym mocno sercem, czego wysiłkiem woli nie dawał po sobie poznać, drżąc, ale pewną ręką otworzył drzwi szynku. Znalazł się w niskiej, długiej sali, o ścianach pobielanych wapnem, oświetlonej lampami naftowymi, których blask

pryciemniały obłoki dymu, unoszącego się z fajek i ohydnych cygar. Za szynkfasem, zastawionym butelkami najrozmaitszego rodzaju, siedziała tęga kobieta z obnażonymi ramionami o puciołowatej, błyszczącej twarzy. Od czasu do czasu wstawała na brutalne wezwania swych gości, których sama obsługiwała.

Sala była pełna mężczyzn i kobiet, siedzących na taboretach przy wąskich stolikach. Pito grzane wino, grano w karty wśród przekleństw, wymyślań i groźb, śpiewano sprośne piosenki. W powietrzu czuć było rozpustę i krew. Zdawało się, że lada chwila wszyscy porwą się do nożów.

Gdy Sebastjan wszedł — rozmowy, kłótnie krzyki i śpiewy umilkły odrazu. Wszystkie oczy skierowały się na przybyłego.

Kim był? Nikt go tu nie znał. Wzbudził podejrzenia. Sebastjan spostrzegł wrażenie, jakie wywołało jego wejście, udał jednak, że tego nie zauważył. Nadał swym oczom błędny wyraz pijanego i chwiejąc się na nogach, szukał wzrokiem wolnego miejsca. Widząc, że wszystkie taborety są zajęte, oparł się plecami o szynkfas i zwrócił do sali twarzą tak głupią, że wszyscy wybuchnęli homerycznym śmiechem.

Podbił publiczność szynku. Niedowierzanie znikło. Przepity kobiety głos zawołał z drugiego końca sali. — Chodź tu, stary! Zrobi ci się miejsce. Postawisz towarzystwu karafkę i będziesz mógł się bawić! — Sebastjan uczynił poruszenie, przypominające ukłon i podniósł dłoń do oczu, żeby dojrzeć tę, która doń mówiła. Potem, chwiejąc się na nogach, poszedł w stronę głosu w głąb sali. Towarzystwo siedzące w samym kącie ustąpiło mu jeden stół, na którym detektyw ciężko opadł.

— No, mój stary — rzekła dziewczyna, która go zawołała, siadając bez ceremonii na kolanach sąsiada — nie chcę cię obrażać, ale jesteś trochę spity.

— Ja, spity? — odparł Sebastjan ze szlachetnem oburzeniem pijaka, biorąc dziewczynę za brodę. — Ba! Więc to może ja jestem pijana? Urząleś się porządnie.

Towarzystwo roześmiało się.

Widząc, że pijak zaczyna być bardziej przedsiębiorczy — dziewczyna zawołała:

— A przedewszystkiem, precz z łapami, stary hultaju. Lepiej pomyślałbyś o poczęstunku.

— To prawda, kochane dziecko... Nie gniewajmy się... — I krzyknął przepitym głosem:

— Matko, karafkę wina dla tych panów. — Zaledwie wymówił te słowa, gdy ktoś uderzył go po ramieniu. Jednocześnie jakiś głos szydłszy krzyknął mu nad uchem:

— Dobry wieczór, panie Sebastjanie Blanc!

Detektyw zerwał się na równe nogi. Przed nim stał rudy mężczyzna w masce z czarnego aksamitu i uśmiechał się szydłszy.

Jednocześnie cała sala powstała z wściekłością, połączoną ze zdumieniem.

Imię detektywa było dobrze znane tym wszystkim bandytom. Drżeli przed nim i nienawidzili go. Tak wielu z ich towarzyszy Sebastjan wysłał na gilotynę i do ciężkich robót! Ale nigdy nie przypuszczali, żeby ośmielił się wejść w ich towarzystwo. Gotowali się do krwawego odwetu. Wydobrze noże błysnęły ponurym blaskiem, wyciągnęły się ramiona, gotowe do zadania ciosu. Dzikie okrzyki odezwały się ze wszystkich stron:

— Na śmierć! Na śmierć! Zabić! Zarznąć!

Sebastjan widział, że jest zgubiony. Tym razem nie potrafił się uratować. Pozostawało mu tylko umrzeć mężnie, broniąc się do ostatka.

Odskokczył w tył i oparłszy się plecami o ścianę, błyskawicznym ruchem wydobyl rewolwer. Napastnicy odsunęli się, onieśmieleni widokiem czarnego otworu skierowanej w ich stronę lufy... Ale inni zajęli ich miejsce, z browningami w rękach. Walka była zbyt nierówna, dzielny policyant musiał zginąć. Rady mężczyzna roześmiał się drwiąco i kłaniając się Sebastjanowi rzekł z szyderstwem:

— Do widzenia, panie Sebastjanie Blanc, na lepszym świecie... Niech się pan postara wydostać stamtąd, o ile pan będzie mógł... Prawdę, mówiąc, uprzedzono pana o takiej możliwości i...

Przerwał mu głośny okrzyk kobiety z za szynkfasu, która wrzasnęła:

— W nogi! dzieci! W nogi! Policya!

Słowa te wywołały niesłychany efekt. Tłum otaczający groźnie Sebastjana rozprysnął się i rozpierchnął, jak stado wystraszonych wróbli. Wszyscy w popłochu rzucili się do wąskich drzwi, znajdujących się w głębi sali, bijąc się, trącając wzajemnie wśród okrzyków wściekłości i przekleństw. Kobiety krzyczały przeraźliwie, ale nie zwracano na nie uwagi, odręczano je bez litości.

Z zewnątrz słychać było ostre odgłosy świstków, którym odpowiadały zdaleka inne. Zbliżały się szybkie kroki obławy policyjnej.

W ogólnym popłochu zapomniano zupełnie o Sebastjanie. On zaś, czując się bezpiecznym, ufny w nadchodzącą pomoc, pośpieszył naprzód, chcąc dowiedzieć się, kim jest rudy mężczyzna, któremu tłum odciął odwrót i który walczył teraz rozpaczliwie, żeby się dostać do wyjścia.

Sebastjan skoczył i już miał go pochwycić za kołnierz, gdy tamten nagle odwrócił się i wymierzył mu tak potężny cios pięścią w twarz, że detektyw padł zalany krwią i ogłuszony. Zerwał się jednak natychmiast, pijany z wściekłości i — nie celując wystrzelił w uciekający tłum. W odpowiedzi na to posypały się wystrzały, napelniając salę hukiem i dymem. Drzwi od ulicy otworzyły się gwałtownie i wpadł przez nie oddział policyantów z rewolwerami w rękach.

Sebastjan chciał wybiec przez drzwi, które uciekła cała banda, ale w tej chwili pochwyciono go i rzucono na ziemię. Chciał powstać, ale silne ręce trzymały go mocno i w jednej chwili skrepowały go sznurami tak, że nie był w stanie zrobić najmniejszego poruszenia.

Wszystko to stało się tak szybko, że oszołomiony detektyw nie zdążył zaprotestować. Agenci otoczyli go, przyglądając mu się groźnie. Widać było po ich oczach, że mają wielką ochotę rozerwać go.

— No — jednego przecież mamy! — zawołał oficer policyjny, który zdawał się dowodzić wyprawą.

— I to nie byle jakiego — dodał kapral — to musi być herszt bandy.

Rzeczywiście łachmany biednego Sebastjana, zalane krwią, wykrzywiona wściekłością twarz jego — nadawały mu pozory najniebezpieczniejszego opryska. Złapano go z bronią w ręku, musiał zasłaniać odwrót swym towarzyszom.

Ale detektyw absolutnie nie chciał zgodzić się na to, żeby go traktowano, jak ostatniego z ostatnich. Słowa kaprała przywróciły mu przytomność umysłu. Podniósł nań oczy i rzekł z gniewem:

— Herszt bandy? Mogliście go pochwycić — i udałoby się to wam, gdyby zamiast aresztować mnie...

— Pogadaj, pogadaj, bratku! — rzekł oficer z błyszczącymi gniewnie oczyma.

— Co? Co? — odparł Sebastjan. — Myśli pan, że się przestraszę? Czego się pan gapi?

— Ja się gapię! — wrzasnął oficer. — Milczeć mi, bo każę gębę zakneblować.

— Będę milczał, jeżeli zechcę i będę mówił, jeśli mi się podoba — odparł chłodno detektyw. — A przedewszystkiem, proszę mi kazać rozwiązać. Było to powiedziane takim rozkazującym tonem, że oficer osłupiał.

— Nikt nie ma prawa mi rozkazywać, a już zwłaszcza nie taki bandyta!

— Nawet pan Ducroc? Nawet szef bezpieczeństwa? — zapytał ostrym głosem Sebastjan.

Oficer uśmiechnął się pogardliwie.

— Właśnie z rozkazu pana Ducroc jestem tu.

— I ja także — odparł Sebastjan z rozpaczliwym spokojem. — I jeżeli chce pan mieć dowód, niech mnie pan uwolni — a pokażę panu list, jaki otrzymałem dziś rano od pana Ducroc.

Oficer wahał się przez chwilę, zastanawiając się nad tem, czy ten opryszek nie kpi sobie z niego. Wreszcie kazał go zrewidować, wziął znaleziony list do ręki i przeczytał go szybko.

— Ależ tu podpisany jakiś Thourenet! — zawołał z gniewem.

— Jestto nazwisko umówione — odpowiedział detektyw.

— To ci się nie udało — nie oszukasz mnie.

— Ależ — zawołał zniecierpliwiony Sebastjan — przecież musiał pan poznać charakter pisma.

— Charakter pisma... — rzekł oficer z wahaniem — przyglądając się uważnie listowi — tak, to prawda. Ale to niczego nie dowodzi. Pismo można podrobić.

— A! tego zanadto! — krzyknął Sebastjan w rozpacz. — Chce pan wiedzieć, jak się nazywam?

— Dobrze — proszę mówić.

— Panu tylko powiem.

Oficer pochylił się i Sebastjan rzekł mu do ucha parę słów tak cicho, że żaden z agentów nie mógł tego usłyszeć. Oficer wyprostował się i wybuchnął głośnym śmiechem. Późem, zwracając się do agentów, którzy patrzyli nań ze zdziwieniem i ciekawością, rzekł z ironią:

— Panowie! Mam zaszczyt przedstawić wam jednego z naszych najlepszych, najznakomitszych kolegów — sławnego detektywa, Sebastjana Blanc!